

Moje spotkania z Miłoszem

George Gömöri

Przechadzki

György GÖMÖRI

Moje spotkania z Miłoszem

Jesienią 1953 roku przebywałem w Polsce na trzymiesięcznym stypendium Węgierskiego Związku Pisarzy. Oprócz Warszawy odwiedziliśmy wiele innych miast i w Sopocie ktoś pożyczył mi na jeden dzień przedwojenny tomik Miłosza *Obloki*. Chociaż znalazłem w nim kilka pięknych wierszy, wtedy jeszcze bardziej interesowali mnie tacy poeci, jak Broniewski, Gałczyński czy Tuwim. Wszystkich ich odwiedziłem, mogę więc powiedzieć, że znałem ich osobiście. Przypomina mi się jak przez mgłę, że usłyszałem podówczas o Miłoszowej zbrodni, za którą grozi kulka w łeb, czyli o *Zniewolonym umyśle*, a całkiem wyraźnie pamiętam rozmowę dwóch literatów w Związku Literatów Polskich; otóż w radiu Wolna Europa napadnięto na Juliana Tuwima, poetę faworyzowanego wtedy przez reżim, i słyszałem, jak jeden polski pisarz powiedział drugiemu: „Ten tekst jest tak morderczy, że mógł go napisać tylko Miłosz”. Jest niemalże pewne, że ów anonimowy pamflet nie był jednak przezeń napisany, z jednej strony dlatego, że poeta nie za bardzo lubił pracować dla Wolnej Europy, z drugiej zaś, że – jak mi wiadomo – żadnego swego tekstu nie opublikował bezimiennie.

Z Czesławem Miłoszem udało mi się spotkać w 1957 roku w Strasburgu na letnim uniwersytecie Komitetu Wolnej Europy. Zaprosił mnie Jan Nowak-Jeziorański, który wcześniej gościł mnie w Paryżu na wielkanocnym obiedzie, albowiem poza mną zaproszenie na kurs otrzymali jedynie węgierscy stypendyści Wolnej Europy zamieszkali w Anglii. Miłosz wykladał po francusku i tylko częściowo go rozumiałem, ale kiedy potem podszedłem do niego i przywitałem się z nim po polsku, przyjął mnie bardzo serdecznie. Wtedy już wiedziałem, o czym będę pisał w Oxfordzie swą dysertację (*Polish and Hungarian Poetry 1945-1956*), a ponieważ Miłosz zaoferował mi pomoc, niewiele później, na początku 1958 roku, napisałem do niego list.

Przechadzki

Dwa listy Miłosza do mnie, pisane w Mongeron, ogłosiłem na łamach wrocławskiej „Odry”, a niedawno ukazały się również w przekładzie węgierskim w miesięczniku „Jelenkor”. Dlatego omówię je tutaj bardzo krótko, chociaż sędzę, iż niewielu swym niepolskim korespondentom Miłosz tak szczerze zwierzał się z tego, co myśli o współczesnej literaturze polskiej czy też o swoim w niej miejscu. Pierwszy z owych listów (pochodzący z 8 lutego 1958 roku) zaczyna się od tego, że pisarz wyrzeka się roli „poety narodowego”. Łączyło się to z tym, że w paryskiej „Kulturze” znalazłem długi, napisany w 1949 roku, dialogiczny wiersz pt. *Antygoną*, dedykowany „pamięci węgierskich robotników, studentów i żołnierzy”. Utwór ten spodobał mi się tak bardzo, że szybko go przetłumaczyłem, a przekład ów ukazał się w kilku miejscach, m.in. w monachijskiej antologii *Gloria victis* (1966). Po upływie kilkudziesięciu lat wspólnie z moim kolegą-poetą z Cambridge, Richardem Berengartenem, przygotowałem również przekład angielski, który został zamieszczony w zimowym numerze „Hungarian Quarterly” w 2001 roku. Później ukazał się jeszcze w nowym, wydanym przez uniwersytet Ohio, wyborze *An invisible rope. Portraits of Czesław Miłosz*. W przygotowywanych przez siebie angielskich wyborach swej poezji Miłosz konsekwentnie *Antygonę* pomijał; był chyba nieco zakłopotany faktem, że mimo swej fobii na punkcie „roli narodowej” poświęcił jednak ważny wiersz ofiarom powstania warszawskiego, bo przecież ten zadedykowany później Węgrom utwór tak naprawdę mówi o warszawskich „niepogrzebanych umarłych”.

We wspomnianym liście Miłosz, wypowiadając się na temat swojej sytuacji, stwierdza, iż jest ona trochę podobna do takiej, w jakiej znajduje się „autor pochodzący z Finlandii, ale piszący po szwedzku”. Jeśli chodzi o mnie, to litewska polskość Miłosza kojarzyła mi się zawsze z węgierską świadomością siedmiogrodzkich poetów węgierskich. W obu przypadkach mamy do czynienia z ważnym kontekstem historycznym, ale wolni jesteśmy zarówno od szowinizmu, jak i jakiegokolwiek formy ultranacjonalizmu. Zarazem ta polskość jest znacznie autentyczniejsza na przykład od staromodnej polskości amerykańskich mas polonijnych, łączącej się z nacechowaną prowincjonalizmem pielęgnacją tradycji, nie mówiąc już o duchu „narodowej demokracji”, pseudochrześcijańskim, ksenofobicznym, niemalże rasistowskim, który ujawnia się we współczesnej Polsce. (Co do tego ostatniego, to chciałbym zauważyć, że interesujące rozważania na ten temat znajdziemy w wydanej niedawno – przez „Zeszyty Literackie” – korespondencji Jeleńskiego z Miłoszem, której lekturę serdecznie wszystkim polecam).

W pierwszym ze swych mongerońskich listów do mnie Miłosz wspomina Rózewicza i Mirona Białoszewskiego jako młodszych poetów, godnych uwagi, aczkolwiek w drugim liście (z 22 VI 1958 r.) wyróżnia już Herberta, jako twórcę, który „ma mocniejsze zadatki na przyszłość, na dalszy rozwój, niż Białoszewski”. Ja również się z tym zgadzałem i wkrótce sam spotkałem się w Paryżu z Herbertem, który wpisał mi na stronę tytułową tomiku *Hermes, pies i gwiazda* uroczą dedykację w związku ze wspólnie przez nas spożywanym paryskim śniadaniem. Przeprowadzoną przez Miłosza krytykę Żeromskiego uznałem za interesującą, a spośród jego

rad tylko jednej nie byłem skłonny przyjąć bez zastrzeżeń, tej mianowicie, która odnosiła się do czytania Gombrowicza i Witkacego. Musiało upłynąć trochę czasu, zanim udało mi się zdobyć znakomitą *Ferdydurke* (poprosiłem o nią mojego przyjaciela, Wiktora Woroszyńskiego, z którym korespondowałem aż do jego śmierci, ale tymczasem warszawska edycja tej powieści została rozchwyтана). Także Witkacego przeczytałem wnikliwie dopiero wiele lat później, kiedy o tym szczególnym pisarzu przyszło mi wykładać na uniwersytecie. W 1958 roku Miłosz jeszcze najwyraźniej sądził, że nie jest wcale pewne, czy potrafię kapryśne i bardzo długie zdania autora *Nienasyceńca* zrozumieć.

Jesienią 1958 roku odbył się w Paryżu pierwszy – i zarazem ostatni – kongres organizacji zwanej Stowarzyszeniem Pisarzy Węgierskich za Granicą. Brałem w nim udział i zadzwoniłem wówczas do Miłosza, spotkaliśmy się w którejś z kafejek, ale już nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy. Natomiast po roku 1960, kiedy to Czesław Miłosz został zaproszony w charakterze wykładowcy na Uniwersytet Kalifornijski, nasza korespondencja odżyła, w dużej mierze z mojej inicjatywy. W 1962 roku uzyskałem w Oxfordzie stopień naukowy, określaną jako B. Litt., odpowiadający w gruncie rzeczy doktoratowi na innych uczelniach, jednakże możliwości zdobycia przeze mnie pracy etatowej były jeszcze wówczas dość ograniczone. W Wielkiej Brytanii polskiego uczono jedynie na bardzo nielicznych, bodaj trzech, uniwersytetach, było zatem logiczne, bym szczęścia spróbował w Ameryce. Napisałem do Miłosza, który mieszkał już w Berkeley, donosząc mu, że chciałbym pisać książkę o Cyprianie Norwidzie i szukam pracy, następnie zapytałem, czy mógłby mi pomóc. Z odpowiedzi Miłosza zacytuje tylko dwa zdania: „Bardzo bym się cieszył, gdyby Pan przyjechał tu studiować. Postarałbym się być Panu użyteczny w miarę moich możliwości”. Potem, w 1963 roku, nadeszło zaproszenie z Berkeley. Zaproponowano mi nauczanie przez rok literatury polskiej, częściowo za Miłosza, który w pierwszym semestrze brał urlop i zamierzał go spędzić w Paryżu.

To była moja druga wielka przygoda (pierwsza wiązała się z pobytem na stypendium Paderewskiego w Indonezji w trakcie pisania „oksfordzkiej” dysertacji), nieco mniej szczęśliwa niż ta pierwsza, jako że pod nieobecność Miłosza byłem wystawiony na intrygi rozgrywane się w katedrze sławistyki Uniwersytetu Kalifornijskiego. Jedną z tamtejszych koleżanek Miłosza, damą urodzoną w Polsce, która od lat uczyła języka polskiego, jednym sprytnym pociągnięciem sprzątnęła mi sprzed nosa nauczanie literatury polskiej, tak że musiałem przejąć jej dotychczasowe obowiązki i prowadzić kurs języka polskiego. Dla zaawansowanych! Nie jestem lingwistą, specjalizowałem się w zakresie literatury. Bokserzy określałą chwyt, jaki wobec mnie zastosowała, ciosem poniżej pasa, dla mnie oznaczał w konsekwencji krew, pot i łzy. Cud, że jakoś wytrzymałem tych parę trudnych miesięcy, po czym w grudniu 1963 roku wrócił do Berkeley Miłosz i wszystko się odmieniło.

Nieco wcześniej zaś przybył do Kalifornii Aleksander Wat, niegdysiejszy więzień Gulagu, wybitny, choć późno dojrzały poeta i autor pamiętnika. Znałem go z pewnej oksfordzkiej konferencji, a ponieważ Miłosz wciąż był w Paryżu, Wat pisał do mnie kilkakrotnie w różnych sprawach, między innymi – mieszkania (tych

Przechadzki

kilka listów opublikowałem w „Twórczości”). Kiedy powrócił Miłosz, Wat konsulował z nim kwestię swoich zajęć w Berkeley. Postanowiliśmy, że w pierwszym semestrze 1964 roku uruchomimy seminarium pt. *Powojenna literatura wschodnioeuropejska*, którą to formułą można było objąć całą literaturę odwilży od Andrzejewskiego po Marka Hłasę i Tibora Déryego. Tyle że Wat prawie nie mówił po angielsku, musiał zatem wyklądać tym paru wystraszonemu słuchaczom (studiów podyplomowych), którzy odważyli się przyjść na nasze seminarium, po francusku i rosyjsku. Po pierwszych zajęciach oświadczył mi, że z powodu silnych skurczów głowy (których się nabawił jeszcze w sowieckiej niewoli) nie jest zdolny do prowadzenia zajęć i żebym ja poprowadził je dalej wszystkie. Tak też się stało, a już po moim wyjeździe z Berkeley Wat, w ramach swego rodzaju rekompensaty, nagrał na taśmę magnetofonową swe rozmowy z Miłoszem, w których opowiedział różne wypadki ze swojego, bogatego w wydarzenia, życia; później ukazało się to w wydaniu książkowym pt. *Mój wiek*.

Jeśli chodzi o moje plany związane z Norwidem, to wówczas interesowała mnie głównie jego filozofia i zamierzałem napisać na jej temat jakieś obszerne dzieło, ale Miłosz mi to odradził: „mniej będzie znaczyło więcej” – powiedział. Natomiast z nieba mi spadła pewna propozycja amerykańskiego wydawnictwa Twayne, które do swej serii poświęconej literaturze światowej potrzebowało książki o Norwidzie. Od Miłosza. Odpowiedział, że on nie ma na to czasu, ale jest tu pewien młody człowiek, który zajmuje się Norwidem; innymi słowy, zaproponował wydawnictwu Twayne moją kandydaturę. Ponadto pomógł mi w zdobyciu rocznego stypendium naukowego na Harvardzie u profesora Weintrauba. Wszystko to rozegrało się w 1964 roku, kiedy już stało się jasne, że zaproszenie mnie do Berkeley rzeczywiście opiewało na rok, tak więc z pomocą Czesława Miłosza trafiłem na jeden z najlepszych uniwersytetów wschodniego wybrzeża – na Harvard.

W pierwszej połowie 1964 roku kilkakrotnie odwiedziłem Miłosza w jego domu na Grizzly Peak Boulevard, skąd otwierał się wspaniały widok na zatokę. Często rozmawialiśmy także o literaturze lub polityce w którejś z kafejek na kampusie. Zapytałem go przy takiej okazji, czy myślał już o odwiedzeniu Polski. Powiedział, że otrzymał nawet zaproszenie (z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego), ale ponieważ takie odwiedziny nabrałyby nieuchronnie odcienia politycznego, na razie nie zamierza jechać do Polski. Zarazem jednak jest mi wiadomo, że cierpiał z powodu stosunkowo słabego odzewu na swą twórczość (można to wyczytać również z jego korespondencji z Jeleńskim) i bardzo się ucieszył, kiedy udało mi się doprowadzić do kontaktu z miejscowym radiem KPFA, w którym poeci polscy prezentowali swe utwory w przekładach Miłosza. Materiały te ukazały się później w zbiorze zatytułowanym *Postwar Polish poetry* (Doubleday, 1965), w którymoczesne miejsce zajmowały wiersze Herberta. Inna sprawa, że po latach wzajemne stosunki Miłosza i Herberta popsuły się i obaj poeci pogodzili się dopiero na krótko przed śmiercią autora *Pana Cogito*. Miłosz, jak wiadomo, przeżył o kilka lat swego młodszego przyjaciela, którego poezję zawsze wysoko cenił (nawet jeśli nie były mu bliskie poglądy polityczne Herberta z późnego okresu jego życia).

Gömöri Moje spotkania z Miłoszem

Nie będę tu opowiadać anegdot z Berkeley, powiem tylko kilka słów na temat ówczesnych wykładów Miłosza, na które uczęszczałem i z których gorliwie sporządzałem notatki. Mówię tu o dwóch kursach: pierwszy był poświęcony współczesnej literaturze polskiej, drugi – historii teatru polskiego. Miłosz mówił po angielsku płynnie, ale z silnym akcentem, a swoje wykłady ubarwiał opowieściami osobistymi. Na przykład powiedział, że w czasie okupacji niemieckiej odwiedził mieszkającego w pobliżu Warszawy Andrzejewskiego, gdzie obaj, w towarzystwie Jerzego Zagórskiego, strasznie się spili i mimo zakazu wyjazdu jakoś przecież dotarli z powrotem do Warszawy. Przy innej okazji była mowa o Wyspiańskim, a dokładniej – o jego dramacie *Wesele*, a Miłosz na koniec wyskoczył nagle z ławki sali wykładowej i ku wielkiej radości studentów odtańczył chocholi taniec, hipnotyczny taniec Polaków.

Ponieważ bardzo interesował go przekład artystyczny, usiłowałem go namówić, by tłumaczył z węgierskiego, ale nie miał na to zbytnej ochoty. Co prawda, spróbował tego jeszcze w Paryżu, w zbiorze *Węgry*, wydanym przez Instytut Literacki, ale mimo że podobały mu się wiersze Sándora Weöresa, które czytał w przekładach angielskich i francuskich, wzbraniał się przed tłumaczeniem z języka, którego absolutnie nie rozumie. Pojawił się zresztą potem inny problem translologiczny. Jerzy Giedroyc, redaktor naczelny „Kultury”, chciał Miłosza nakłonić do tłumaczenia Achmatowej i Pasternaka, ale usłyszał w odpowiedzi, że poeci ci są dla niego „na zbyt bezpośrednio liryczni” i dlatego raczej nie będzie ich przekładał.

Zanim w sierpniu 1964 roku pożegnałem się z Harvardem i Miłoszem, zobowiązałem mnie do tego, bym kontynuował badania nad związkami i kontaktami polsko-węgierskimi, bo na tym polu mogę osiągnąć dobre wyniki. Aczkolwiek na Harvardzie zajmowałem się głównie Norwidem, zwróciłem jednak uwagę na to, co się podówczas działo na Uniwersytecie Kalifornijskim: na słynny strajk studentów, który narobił tyle szumu. Wiem, że Miłosz zajmował wobec tego stanowisko zachowawcze, nie sympatyzował ze skłoną do anarchii nową lewicą amerykańską. Pamiętam na przykład, jaki był wściekły na Louisa Simpsona, który w jednym ze swych wierszy „zwymyślał” Amerykę. Natomiast w marcu 1965 roku otrzymałem od Miłosza list, a raczej jego kopię, w związku z tym, że „New York Times” określił go mianem „defector”, co trzeba by chyba rozumieć jako „dezert”. Miłosz zaprotestował w liście do redakcji, ale gazeta nie zamieściła jego listu, więc przynajmniej poinformował o swym proteście bliższych znajomych i przyjaciół.

W lecie 1965 roku wróciłem z rodziną do Anglii, a rok później odezwał się do mnie Charles Newman, redaktor amerykańskiego „Tri-Quarterly”, oznajmiając, że chce przygotować numer tematyczny – wschodnioeuropejski. Zaproponował, abym był współredaktorem. Na początku sprecyzowałem, co przez Europę Wschodnią rozumiem; do numeru specjalnego trafili oprócz Węgrów i Polaków jeszcze tylko autorzy czechosłowaccy i jugosłowiańscy. Wiedząc, jak bardzo ceni Miłosz Witkacego, poprosiłem, by przygotował o nim esej po angielsku. W liście napisanym po angielsku i datowanym 24 października 1966 roku Miłosz donosił mi, że

z radością podejmie się tego zadania. Zazaczył przy tym, że Witkacowski teatr absurdu zaczyna interesować również tłumaczy i reżyserów kalifornijskich. Dla mnie szczególnie satysfakcjonująca była uwaga – po polsku – z zakończenia listu: „Pana diariusz w «Kulturze» ciekawy i dobrze pisany” (odnosiło się to do moich zapisków dziennikowych, dotyczących rewolucji 1956 roku, wydrukowanych w 1966 roku w 10. numerze „Kultury”, a później przedrukowanych w angielskojęzycznej antologii tekstów z tego czasopisma, przygotowanej w 1970 roku przez Tyrmanda. Esej poświęcony Witkiewiczowi ukazał się w numerze specjalnym „Tri-Quarterly” wiosną 1967 roku wraz z dokonaniem przez Miłosza wyborem wierszy kilku poetów polskich (oprócz jego własnego wiersza, zatytułowanego *Król Popiel*, włączyliśmy do tego numeru po jednym wierszu Przybosia, Wata i Jastruna), ponieważ zaś zamieściliśmy również esej Konstantego Jeleńskiego o Gombrowiczu, pomyślałem, że polska część będzie w porządku. Dopuściłem się natomiast pewnej śmiałości – może błędu – prosząc emigracyjnego profesora, Tymona Terleckiego, o zrecenzowanie kilku angielskich i francuskich antologii poezji polskiej, w tym wydanej przez Seul, opracowanej przez Jeleńskiego *Anthologie de la Poesie Polonaise*, do której wstęp napisał Miłosz. Wiedziałem, że Terlecki jest krytykiem bardziej konserwatywnym i w pewnym sensie bardziej dogmatycznym niż Jeleński, ale jednak byłem zaskoczony, gdy w wydanej niedawno korespondencji Jeleńskiego z Miłoszem przeczytałem, iż esej Terleckiego czy też niektóre zawarte w nim (a uznane za podłe) uwagi, strasznie ich obydwu oburzył. Tu zatem nie sprawdziła się idea „niech kwitną wszystkie kwiaty”, choć ów numer specjalny odniósł taki sukces, że po roku, a więc w 1968, ukazał się w postaci książkowej nakładem chicagowskiego wydawnictwa Quadrangle Press.

Rok 1969 przyniósł mi szczególną wymianę listów z Miłoszem. Zainicjowała ją moja recenzja nowego wyboru jego wierszy, opublikowana w amerykańskim czasopiśmie poświęconym literaturze światowej „Books Abroad”. Napisałem w niej, jak wysoko cenię wiersze poety powstałe bezpośrednio po wojnie (z tomu *Ocalenie*), ale mój szkic zakończyłem pytaniem, które najwyraźniej sprawiło Miłoszowi przykrość. Ostatnio poeta, pisałem, zajmuje się głównie swym dzieciństwem i swoimi snami, gdzie podziały się jego dawne wiersze o historiozoficznym wymiarze? Czy Miłosz odwrócił się od historii, czy może historia odwróciła się od niego? Powinienem to być sformułować inaczej, bo w tej formie przypominało to poecie stare trockistowskie powiedzenie, że kto nie podąży razem z postępem społecznym, ten trafi na „śmietnik historii”. W długim liście do redakcji „Books Abroad” Miłosz bronił swej praktyki poetyckiej. Pisał w nim m.in.: „Poeta ma zobowiązania jedynie wobec języka [...] taktyka poety zmienia się w zależności od tego, jakie historyczne niebezpieczeństwa bądź deformacje znaczeniowe zagrażają językowi”. Jako że byłem członkiem komitetu redakcyjnego „Books Abroad”, redaktor Ivar Ivask przekazał mi ów list, zapytując, czy przychyliam się do jego publikacji. Zgodziłem się, ale przedtem zwróciłem się listownie do Miłosza, wykładając dokładniej swoje poglądy. Zazaczyłem przy tym, że opublikujemy jego list, jeżeli usunie z niego wyrażenie „śmietnik historii”, którego w mojej re-

Gömöri Moje spotkania z Miłoszem

cenzi nie ma. Ponieważ Miłosz nie odpowiedział, listu nie zamieściliśmy w „Books Abroad” (gdzie zresztą podówczas listy się nie ukazywały).

Dopiero później trafił w moje ręce twardy wiersz Miłosza *Moja wierna mowa*, w którym ustosunkował się on do polskich wydarzeń 1968 roku. Wówczas rozpoczęła się, równocześnie z rozbiciem demonstracji studenckich po zakazie przez władze wystawiania sztuki Mickiewicza, kampania antyrewizjonistyczna-antysyjonistyczna, która w istocie stanowiła parawan dla próby przejęcia władzy przez generała Moczara, a w konsekwencji doprowadziła do opuszczenia Polski przez wielotysięczną rzeszę inteligencji, m.in. przez sławnego filozofa Leszka Kołakowskiego. Wymieniony wyżej wiersz Miłosza, który przetłumaczyłem na węgierski, był w gruncie rzeczy atakiem na skarlenie języka używanego w polskiej prasie i w pełni współbrzmiał z duchem listu wysłanego do redakcji „Books Abroad”. Po roku 1956 Miłosz bardzo rzadko pisał wiersze tak zaangażowane politycznie, a w moim przekonaniu taki był utwór *Moja wierna mowa*, podobnie jak powstały w reakcji na wojnę w Bośni *Sarajewo*, który może być wprawdzie odbierany również jako „moralizujący”, ale jest przy tym bardzo uczciwy i rzetelny. To wiersz bliski mojemu sercu.

W latach 70. i 80. jeszcze wielokrotnie wymieniałem listy z Czesławem Miłoszem. W roku 1978 napisałem esej do numeru specjalnego „World Literature Today”, poświęconego Miłoszowi. Otrzymał on wówczas międzynarodową nagrodę amerykańskiej fundacji Neustadt. Nagroda ta była często nazywana „małym Noblem” (niestety, węgierski pisarz jeszcze jej nie zdobył). Dopiero niedawno dowiedziałem się, że po zdobyciu przez Miłosza tej nagrody nasiliło się lobbowanie jego kandydatury do „dużego”, a więc tego prawdziwego Nobla. Wtedy jednak nagrodę fundacji Neustadt dla 67-letniego poety przyjąłem z wielką radością i od razu wysłałem mu list z gratulacjami. Tylko w charakterze zabawnego wspomnienia z tamtych czasów przywołam fakt, że wówczas na Węgrzech nazwisko Czesława Miłosza było niemal zupełnie nieznane, ponieważ zaś moja matka pracowała jeszcze w redakcji „Magyar Nemzet”, za jej pośrednictwem i przy pomocy Erzsi Berkes gazeta zamieściła dwa moje przekłady wierszy Miłosza (jako pierwsze z czasopism węgierskich). Potem twórczością Miłosza zajął się także Endre Bojtár, zdaje się – na łamach „Nagyvilág”. Kiedy po latach wydawnictwo Europa wydało wybór wierszy Miłosza, znalazło się w nim również kilka moich przekładów.

W roku 1971 wygłaszałem wykłady w różnych ośrodkach amerykańskich, trafiłem także do Berkeley, ale z Miłoszem odbyłem wówczas jedynie krótką rozmowę. Tę stratę udało się w jakiejś mierze wynagrodzić w 1984 roku podczas konferencji polsko-żydowskiej w Oxfordzie. Dodać trzeba, że w pobliskim Yarnnton Manor działał już wtedy, powstały dzięki znacznym nakładom finansowym, instytut badawczy – Hebrew and Jewish Research Centre. Sama konferencja odbywała się w którymś z oksfordzkich kolegiów, ale jednym z najbardziej spektakularnych wydarzeń okołokonferencyjnych był wieczór poezji Czesława Miłosza. W trakcie tej imprezy usłyszeliśmy wiersz *Campo di Fiori*, napisany w 1943 roku po wybuchu powstania w getcie warszawskim. W utworze tym poeta zestawiał sa-

Przechadzki

motność ofiar i męczenników inkwizycji z beztroską krzątaniem i skłonnością do rozrywki jarmarcznego ludu. Przetłumaczyłem ten wiersz już wiele lat wcześniej, ukazał się w mojej autorskiej antologii poezji polskiej, zatytułowanej *Az ismeretlen fa* [*Nieznane drzewo*, Washington 1977]; przekład ten zaliczam do swych najlepszych tłumaczeń poetyckich. Dużym przeżyciem było spotkanie z *Campo di Fiori*, na tamtej pamiętnej, także z innych powodów, konferencji.

Ostatni, napisany ręcznie, krótki list, jaki dostałem od Miłosza, odnosił się do wspomnianej na początku niniejszego szkicu *Antygony*, której angielski przekład ukazał się w 2001 roku w „Hungarian Quarterly”. Miłosz przystał na publikację pod warunkiem, że podamy datę powstania utworu – rok 1949. W tymże 2001 roku w małym bratysławskim wydawnictwie ukazał się mój niewielki wybór wierszy Miłosza po węgiersku pt. *Ahogy elkészül a világ* [*Stwarzanie świata*], ale z powodu trudności dystrybucyjnych, na Węgrzech był prawie nieosiągalny i odzew krytyczny również był bardzo skromny.

Aczkolwiek dzisiaj, w roku jubileuszowym, ukazują się w przekładach węgierskich sporo utworów Miłosza, to jednak sądzę, że wciąż jesteśmy winni temu poecie wydanie wielkiego, obejmującego całość jego dorobku, tomu wierszy, za które zasłużenie, jak uważam, otrzymał Nagrodę Nobla.

Przełożył Jerzy Snopek

Abstract

György GÖMÖRI

My meetings with Miłosz

An exquisite Hungarian literary scholar, poet, critic and translator, *professor emeritus* of the Cambridge University, recalls events from the history of his acquaintance with Czesław Miłosz, especially meetings and conversations. Referring to the letter exchange with the poet, he describes publishing enterprises related to the promotion of his oeuvre in the magazines and anthologies he edited. Some circumstances of these initiatives provide an interesting context for Miłosz's biography. In this article one can also find some interesting details concerning the author's work at the University of California, which he visited invited by the poet as well as some remarks on other friendly gestures on the part of the great Polish poet towards a young Hungarian emigrant (Miłosz helped him obtain a research position at Harvard).